Ner 17. Kraków 4 czerwca 1870. Rok V.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa, w księgarni J. Czecha hotel drezdeński F. Baumgardtena w głównym rynku. Listy należy adresować: do Administracyi „Kaliny“ — w Krakowie.

LORD BYRON

SZKIC LITERACKO-BIOGRAFICZNY

PRZEZ

Lucyana Tomasza Rycharskiego

(Ciąg dalszy).

Kiedy jeszcze o jego talencie rozprawiano, udowodnił go, a nawet świetniej niż poprzednio. Roku 1814 wydał *Korsarza*, poemat w trzech pieśniach, poświęcony Tomaszowi Moore. Bohater jest taki sam, jak Giaur i Selim, ale charakter jego jest bardziej rozwinięty, cnoty jego są szlachetniejsze. Ciemność okrywa początek życia, które miało się wsławić, gdyby namiętności i zbytki nie były go skalały. Pełen pychy i zemsty gardzi rodem ludzkim, widząc w nim samą obłudę; z tem wszystkiem dręczy go miłość sławy; nie mogąc jej już oprzeć na cnocie, zasadza ją na zdobyczach, ale nie ma spokojności, któraby mu używać jej dozwoliła. Wzorem tej osoby, przez Byrona często przywodzonym, zdaje się być Napoleon; jego bohaterowie mają tę samą wielkość, tę samą dumę, co on, pasują się pod ciężarem okropnego przekleństwa. *Korsarz* obfituje w czyny i posępne obrazy; zdobycie pałacu, ciemność więzienia, zjawienie się sułtanki i jej okropne spotkanie się z Korsarzem po morderstwie, wszystko to stanowi razem obraz rozwijający się przed oczyma.

I któż jest wódz ten? — od brzega do brzega
Imie się jego jak piorun rozlega,
To dość, o resztę nie troszczy się rzesza.
. . . .
— Cóż jest ten urok, że mu nikt z korsarzy,
Choć szemrze, zajrzy, oprzeć się nie waży,
Co w nich dlań wzbudza tę cześć, posłuszeństwo?
Potęga myśli, duszy czarnoksięstwo.

Co to za obraz woli człowieka, co za uczucie duchownej wartości! Tego wizerunku mała dusza by nie skreśliła.— Na ten obraz cierpiącego występku, na ten obszar duszy Korsarza, poeta rzuca jedno uczucie rzewne, głębokie; on rozbójnik chciwy władzy i zemsty, kocha Medorę z całą mocą wiosennego czucia; widać jeszcze poczciwość, jeszcze ślady ludzkiego, tkliwego serca. Rzewny i poetyczy ustęp! — Posłuchajmy, jak Byron przez usta Medory maluje żałość kobiety:

Co, on już poszedł? — straszliwe pytanie!
Gdy kto tak nagle samotnym zostanie.
— Gdzież jest — wybiegła obłąkanym krokiem
I łzy nareszcie lunęły potokiem
Bujne, gorące — myślą za nim woła:
Bądź zdrów — wymówić nie śmie i nie zdoła.
Ach bo w tem słowie choć się chcą uśmiechać
Ufność, pociecha — rozpacz tylko słychać!

Jakże dobrą jeszcze musiała być dusza Konrada, kiedy go Medora tak kochała... on dla wszystkich nieodgadn.onyj, jej grunt serca swego odsłonił; dumny i mocny przed nią tylko przyznawał się do niedoli; nie zapierał ciężkich ran sumienia — kobieta pojęła wszystko tym instynktem serca, co świętość łez rozumie..... w jej duszę Bóg dla niego rzucił ziarno łaski i nadzieji — ona nie ulękła się zbrodni, bo znała tajemnicę gorzkiej żałości!

Serce w nim było tkliwe lecz skrzywdzone,
Strute zbyt wcześnie, zbyt długo drażnione
Poszło ku złemu — czucia były czyste,
Lecz jako rosy krople przezroczyste,
W głębi grot ziemnych, niedostępnych słońcu,
Ścięły się, skrzepły — skamieniały w końcu.

Początkowo widzimy Konrada w powodzeniu, otoczonego poszanowaniem, patrzmy dalej, jak Byron umiał utrzymać ten sam jego charakter w niedoli. Te dwie cechy błędnej duszy Korsarza: pycha dla ludzi i zgryzota sumienia wewnętrzna w tej ostatniej części najmocniej się rysują; zarzucićby tylko można, iż tam za mało tego drugiego żywiołu.... nienawiść przytłumia żal szlachetny; on, co znał wszystkie stany, wszystkie moralne rozkosze, nie znał jednego stanu — zupełnej skruchy i błogiej wiary:

Czuł on, co człowiek czuje, gdy na czoło
Ze szczytu upadł pot fortuny koło.
Czuł złe, co zrobił, czuł blizkie katownie
Czuł hardość wroga, czuł gorzko, gwałtownie;
Ale też duma, co go w głąb wtrąciła,
Wzmogła w nim serce i boleść pokryła.
Wzrok pogardliwy i twarz obojętna
W jeńcu — zwycięzcy jeszcze noszą piętna,
Ranny, zmieniony, łecz gdzież są w tej chwili,
Coby spokojniej i mocniej patrzyli.

Zaprawdę duma ma swoją siłę, lecz nie twórczą, nie życiodajną; Byron malował stoickie uczucia, ale nie mógł odebrać swoim bohaterom równie jak sobie, pamięci wyższej daleko mocy i godności, wyższego źródła rezygnacji.... dla tego widzimy go zawsze jakby wśród dwóch światów; kiedy myślami chce zaprzeczać wewnętrznemu przekonaniu, forma poematu go zdradza. Gulnara okupująca zbrodnią wolność Konrada, jest wyjątkiem w obrazach kobiet Byrona, a opis jego oburzenia, jego mimowolnego wstrętu do zbójczyni, dowodzą, ile kosztował autora ten odstęp od czystych zasad estetyki, jak go przeciwnym naturze uważał. Kobieta w poematach mistrza Albionu kocha z zapomnieniem siebie, ale kocha nieszczęsną ofiarę błędu jeszcze dla cnoty i dobra nie umarłą. Tylko w Myrrhrze w poemacie *Sardanapal* o czem później i w Gulnarze jest wyjątek od tych obrazów niewieściej czułości; w pierwszej też przywiązanie jest raczej heroizmem, wiernością, litością, nie kochaniem, — drugiej serce znękane niewolą i rozpaczą spełnia zbrodnię jakby w odurzeniu, bez wiedzy prawie i rozmysłu. — Tę powieść kończy śliczny opis zmarłej z rozpaczy Medory. — Pomimo podziwienia, jakie to dzieło sprawiło, nie można go jednak przekładać nad inne. Jest w niem więcej romantyczności niż uczucia, i pewien rodzaj przesady, nieodłącznej może od rytmu przezeń przyjętego.

W liście do Tomasza Moora zapowiedział autor, że przez kilka lat wypocznie; ztąd zapewne poszło, że chcąc tej jakby z publicznością zawartej umowy dotrzymać, wydał następny poemat *Lara* bezimiennie. Jestto znów Korsarz, tylko o lat kilka starszy. Ta istota, pominąwszy inne, okryta jest cudownością i zasłoną. Straszliwy dla wszystkich dozwala przystępu do siebie tylko paziowi twarzy oliwkowatej, który mu do obcej ziemi towarzyszył. *Kaled* zna wyrazy, które cierpienia jego łagodzą, umie rozpędzać mary zatrważające jego pana; on sam wie o jego zbrodniach i wiadomość ta musi być okropną. — Byron zostawia zawsze za wyrazami swemi przepaść, której badanie przejmuje bojaźnią. Nie czujemy nawet chęci do zgadywania tego co się w niej ukrywa, czujemy tę samą trwogę, jaka przejmuje nas, kiedy w przepaść spoglądamy, której dna oko nie dosięga.

Genjusz Byrona, niezawisłość jego charakteru, jego wzgarda zaszczytów, które pychę innych obudzają, wszystko przyczyniało się do tego, iż się stał przedmiotem ciekawości publicznej. Ganiący, chętnie dzieła jego czytali. Nierozsądna namiętność kobiety, która bez wzajemności go kochała, uczyniła go zupełnie modnym; wszyscy chcieli go widzieć, ujmował tych, którzy go poznali, bo ułożenie jego było uwodzące, a rysy twarzy zupełnie piękne. Czoło miał wysokie i cokolwiek odkryte, włosy czarne, oczy ciemno-niebieskie, wzrok zwykle miły i przenikliwy, czasem żywy i rozkazujący; usta jego wyrażały kolejno wzgardę i czułość. Ale najzwyczajniejszym charakterem jego fizyognomji była wielka szlachetność, dobroć i zamyślenie; gdy go uderzała śmieszność, uśmiech jego stawał się ironicznym. Gdy był mocno wzruszony lub rozgniewany, uczucia najskrytsze malowały się na jego twarzy, wyraz jej był nadzwyczaj ruchomy i cieniowany. Pewien poeta, jego rywal tak mówił o nim: „Jestto piękny posąg alabastrowy, ogładzony zewnątrz, wydrążony wewnątrz; roznieć w środku jego płomień, a ujrzysz, jak cały posąg zajaśnieje i wszystkie figury, wszystkie formy, dłutem artysty ukształtowane, ukażą ci się świetnemi.“ Głos jego był przyjemny i drżący, czytywał z wielką mocą i wielkim zapałem. Pewien znakomity literat angielski, który z Byronem długo był w zażyłości, zapewniał, że nikt nad niego nie posiadał w większym stopniu przymiotów, jakie domowe życie uprzyjemniają. Podobnie, jak wszyscy ludzie czuli, łatwo się gniewał, ale była to raczej niecierpliwość; brzydził się każdym, w kim podłość i skłonności nikczemne odkrył, lecz usprawiedliwiał błędy przyjaciół i pomagał im ile możności. Roku 1814 mieszkał w Londynie i codziennie w południe odwiedzał swego księgarza Murray, gdzie zwykle zastawał uczonych, z którymi miał stosunki; bawił tam blisko trzech godzin, przeglądając nowe pisma, dzienniki i rozmawiając o literaturze i polityce. Był bardzo wymyślny w wyborze swoich znajomości i wymieniał panu Murray tych, których w sali dla siebie przeznaczonej chciał widywać. — Byron posiadając rzadki przywilej przyrodzonego talentu, w podwójnem czerpał źródle samotności i czynnego życia; na łeb na szyję rzucił się w wir eleganckiego i hucznego świata, tworząc cudne poemata wśród biesiad i szałów. *Lara* przyszła na świat po balu maskowym; a między wieczerzą u Watiego, grogiem u Duglasa Kinnaird, a pierwszem wystąpieniem Keana, cudne ustępy *Giaura* posełał do druku. Wszystkie piękności, które kochał lub które były godne kochania, migają się w jego poematach. Lady Frances Webster służyła za wzór do Zulejki; lady Karolina Karley ukrywa się pod imieniem Janthy; a inne, jak Karolina Lamb, lady William Russel, Adelaida Forbes, księżna Galli, znachodzą swe miejsce w galerji poety.

Zastanowiwszy się, w jakiem gronie przeżył Byron trzy najświetniejsze lata swego życia, zrozumiemy, dla czego na nim ta epoka zrobila tak głębokie wrażenie. Nigdy towarzystwo wyższe w Londynie nie jaśniało takim doborem ludzi, jak podówczas. Wojny Napoleońskie, a potem pokój, który sprowadził do Anglji większą część bohaterów „Świętego przymierza;“ na tronie monarcha najwykuwintniejszy jak równego nie było; ruch poetyczny, społeczny i literacki— wszystko to zbiegło się w okresie od 1810 do 1820 r. i uczyniło stolicę Anglji ogniskiem potęg umysłowych.

Szkocję reprezentował Walter-Skot, Jeffrey i Erskine; Irlandję Sheridan, Grattan, Moore; surowość Napoleońska sprowadziła temu panią Staël; a dla przyjęcia tak dostojnych gości Anglja dostarczyła imion sławnych, jak: Canning, lord Holland, Mackintosh, Brougham, Rogers, Campbell, Sidnej Smith, sir Humphrey Davy, i innych wielu, świeczników politycznych i naukowych. W tem kole świateł jednę tylko chwilę, tylko jednę, Byron był słońcem i niejako punktem przyciągania. Jakaś tajemnica, oslaniająca mgłą jego młodość, dalekie podróże po wschodzie, ponure rysy, jakiemi malowali go ci, którzy go nie znali z blizka, wszystko to było niezwyczajne, zwracające uwagę, mianowicie kobiet ku młodemu, uroczemu wieszczowi. — Trzeba przyznać, że nic nie bawiło bardziej Byrona, jak kiedy mógł zmistyfikować sobą, pozwalając wierzyć, że przeszłość jego tajemnicza i straszna. Komedja ta prędko przeszła; z jednej strony przebrało się podziwu, z drugiej cierpliwości; a złośliwy psotnik ubawiwszy się do syta, głośno sobie żartował kosztem oszukanych. Owóż kiedy ów żarcik za głośno może puszczony ochłodził tłum wielbicieli, zaraz dało się czuć niejakie oddziaływanie, a cóż dopiero gdy na stół przyszła katastrofa z ożenieniem Byrona, natychmiast cała Anglja zaciągnęła się pod chorągwie potwarzy najczarniejszej, na jaką nikczemność zdobyć się mogła!

Pod te czasy lord Byron, jako członek izby wyższej, dawszy się słyszeć publicznie, wszystkich zadziwiał wymową. Lord Grenville zrobił uwagę, że styl jego parlamentarny miał wiele podobieństwa ze stylem Burkego, a lord Holland przepowiedział mu, że byle nie zaniedbał mówczego talentu, przejdzie najsławniejszych oratorów izby. To wszystko zdawało się pociągać go ku zawodowi politycznemu, lecz wyroki inaczej zrządziły. Na dalekich brzegach ziemi zapomnianej, w krawych walkach półdzikiego ludu, znalazł pole działalności swojej, i mógł żyć czynami, podczas gdy dla ojczyzny swojej tylko myślami się szamotał.

(Ciąg d. n.)

USPRAWIEDLIWIENIE.

Dziś brak mi skrzydeł bym wzbił się do nieba
I głosu w piersiach — i w sercu rozpaczy...
Tak, że już wołać nie umię inaczej
I łaknąć — oprócz powszedniego chleba...

Bez pragnień w duszy, o tem tylko marzę,
Co mi na deser poda los gościnny. —
Gdybym był głodny, może byłbym inny —
I żył, jak orly żyją — nie nędzarze. —

WNUCZKA

Ustęp z pamiętników Wesołej Kobiety

przepisał

J. K. TURSKI.

(Ciąg dalszy).

III.

Pierwsze wrażenie.

— Tego już za wiele, pomyślałam sobie — to duma przechodząca wszystkie granice zarozumiałości. — I powstawszy od fortepianu, z giestem nie zbyt nawet grzecznym, zbliżyłam się do dziadka, który rzeczywiście był już w ambarasie, nie wiedząc jak sądzić impertynencką prawie szorstkość recenzenta muzycznego, tak głęboko rozumującego o polityce i tak biegle sądzącego o literaturze.

— Pani się gniewa? rzekł wtedy dziwnie milym głosem miarkujący wszystko nieznajomy — bardzo przepraszam za moje zbyt jawne wypowiedzenie prawdy, już to taka moja natura, mówię wszystko, co myślę, lubo nie przeczę, iż mogę się nie w jednej rzeczy mylić. Powiedziawszy to skłonił się uprzejmie i zamilkł.

Wtedy mi nagle przyszła do głowy myśl, której spóźnienia nie mogłam sobie nigdy dosyć nawyrzucać.

— Pan pewno gra?... spytałam się nieśmiało.

— Gram pani, rzekł na to z nadzwyczajnym spokojem i obojętnością...

— Gra pan? zapytał dziadek. — A! czemuż nam pan pierwej o tem nie mówił?

— Nie było o tem mowy, odrzekł.

— I mnie pan brał na egzamen, rzekłam rumieniąc się po uszy — to nie grzecznie.

*

— Nie pani — ja bardzo lubię słuchać młodszych, bo sobie z ich świeżej gry nie jednę czasem przypominam myśl.

— A! to nam pan też zagra, rzekł dziadek, nieco rozdrażniony za moję przykrość.

— Już to koniecznie wypada, dodałam.

— Jeżeli państwo sobie życzą — rzekł zbliżając się do fortepianu, zagram.

Nigdy w najciekawszej kobiecie nie wzrosła taka potęga ciekawości, jaka się we mnie obudziła w owej chwili, kiedy mój nieznajomy rywal zasiadł do gry. Serce biło mi jak młotem... oczy ledwie łzami nie zachodziły....

On siadł, złożył nuty leżące na pulcie, i bez długiego przygotowania uderzył w klawisze dobywając akordu, którego nigdy nie zapomnę. Ten jeden akord wystarczał do odgadnięcia w grającym ogromnego talentu. Co się działo ze mną, gdym jego uderzenie usłyszała, opowiedzieć nie jestem w stanie. Potem zagrał marsza pogrzebowego Chopina.... Ale cóż to była za gra!... Toż to mistrz był!... I ja — ja początkująca w obec niego uczennica, dąsałam się, że mi taki człowiek robił skromne uwagi!...

O! straszna to była dla mnie pokuta... Dziadek trzymając mię za rękę, uczuł jak zadrżałam po usłyszeniu kilku akordów... kazał mi usiąść i uspokajał cichym szeptem pociechy... Sam on biedak poznał, że gra moja nie może iść w porównanie z genjalną grą nieznajomego — dwaj obywatele, chociaś nie tędzy znawcy, zdumieni siedzieli milczący wpatrując się w rozpromienioną twarz grającego — a on grał nie zważając na nic, co się w około niego dzieje... grał w prawdziwem natchnieniu, i tak doskonale, żem potem nigdy w mojem życiu już nie słyszała takiego wykonania znakomitego dzieła Chopina, choć słyszałam Dulębę Kontskiego i księżnę C... — Byłam w gorączkowej ekstazie... Połykałam wszystkie jego tony, a co chwila zjawiały mi się nieznane dotąd cuda i perły melodji, których sama grając ten marsz nigdy nie dostrzegłam. Oto jest tajemnica sztuki, pomyślałam sobie wtedy, przypomniawszy sobie nieznośnego hrabiego Zygmunta — ten nieznajomy posiada klucz od świątyni tajemnic muzyki... On grał ciągle... a gdy skończył, nastała uroczysta cisza; której nikt słowem zimnej pochwały przerwać się nie ośmielił. Nieznajomy sam także nic nie mówił, ale po chwili wypoczynku zagrał na pamięć trudną pieśń bez słów mego ulubionego krakowianina. Tego było już dla mnie za wiele... Słysząc przez niego odegrany ten utwór, który sama dopiero co wybrzdąkałam, zdało mi się, że to zupełnie coś nowego... Ani podobieństwa do mojej rąbaniny... Taka gładkość, płynność, jak gdyby fale złocistej wody spływały ze skały.. Nie! to sen chyba jaki anielski... to muzyka niebiańska... I ja śmiałam być dumną z moją brzdąkaniną w obec tego mistrza... Jakaż nierozwaga wstrzymała mię od zapytania się pierwej, czy on nie gra — aj te pochwały, te pochwały moich adoratorów i pochlebców.. jakże mi się obmierzłemi teraz wydały... Strasznie ukaraną została moja pycha... nikt skuteczniejszego sposobu nie mógł wynaleść na wyleczenie mej chorobliwej ambicji... Cała moja wielkość leżała skruszona u nóg prawdziwego mistrza... byłam pokonana, zwyciężona — ale i wyleczona na zawsze.... Tę sobie muszę oddać sprawiedliwość, żem zaraz w tej chwili upamiętała sie w mej dumie i z pokorą postanowiła znieść całą boleść mej przegranej... Prześlicznie wydała się pieśń bez słów wydobyta z klawiszy rękami naszego mistrza.

To mię tylko uderzyło odrazu, czemu on grając sam ten piękny utwór, tak go ganił, czy lekceważył, gdym go ja grała. A wspomniałam sobie, że nie tyle ganił grę moję, ile utwór. To mi dało trochę do myślenia... Więc kiedy ją skończył, i kiedy znowu zapanowała cisza w salonie... ja zdobywszy całą odwagę swoję, drżącym jednak głosem odezwałam się pierwsza: — I czyż to godziło się tak lekceważyć ten prześliczny utwór?...

— Wszystkie utwory tego młodego zapaleńca gram na pamięć... lecz pomimo to nie mogę im przyznać tych zalet, jakiemi je pani zaszczycasz. To młody człowiek jeszcze, rzekł zabierając się do nowego kawałka może się wyrobi... dziś jeszcze wypada mu wiele pracować....

— Zna pani to *Scherzo?* zapytał następnie rozpoczynając cudowne dzieło Chopina — to śliczne... i nie czekając odpowiedzi, grał je z jakimś niewypowiedzianym zapałem i zachwytem.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że szczególnym wypadkiem, na który wielu podróżnych gniewać się musiało zapewne, my posiadaliśmy w domu jakiegoś, znakomitego muzyka, który ze swoim talentem mógł się popisywać po pierwszych stolicach Europy.... Nazwisko jego wydało mi się tylko zaimprowizowanem. Nie chciał się nam z prawdziwem przedstawić, nie lubiąc zapewne ostentacji i komplementów... Pewną byłam jednak, że je już świat cały znać musi, ktoby jednak był — nie mogłam odgadnąć...

Skończywszy *Scherzo*, siedział jeszcze chwilkę w milczeniu przy fortepianie, a potem powstał i zwróciwszy się do mnie i do mego dziadka, rzekł z najszczerszą uprzejmością....

— Może tego za dużo — przepraszam; umęczyłbym państwo moją passją grania... Często się zapominam... nałóg staje się drugą naturą...

— Ale z kimże mamy przyjemność, rzekł na to zbliżający się do niego mój dziadek, odgadujący także w nim kogoś innego...

— Mniejsza o nazwisko, odrzekł zapytany wyraźnie zaambarasowany tem zagadnięciem, przebaczcie mi

tylko państwo, żem może swą zbyteczną otwartością sprawił im niejaką przykrość.

— Szczęście, drogi Panie, prawdziwe szczęście dla nas... mówił wzruszony mój dziadek ściskając serdecznie rękę znakomitego muzyka... Ale tę Pan oto przeproś biedaczkę, żeś jej tyle wyrządził krzywdy, że teraz i patrzeć się na pana nie może...

— Pani mi wybaczy... rzekł na to zwracając się do mnie, której serce ledwie nie wyskoczyło z piersi, krzywda się żadna nie stała... Dowiedziałem się, że Pani istotnie ładny pośiada talent, i tylko niejakiej potrzebuje jeszcze wskazówki do jego rozwinięcia. Wiele bardzo rzadkich zalet spostrzegłem grze w Pani, lubo Pani niegrzecznemu prawdomówcy pozwoli sobie zrobić parę uwag.

— Z największą wdzięcznością przyjmę wszystkie, rzekłam na to do najwyższego stopnia zakłopotana, lecz z góry Panu powiadam, że nigdy nie przebaczę Panu tej mistyfikacji, z jaką mię wziąłeś na egzamen.

— Pochodziło to z mej zarozumiałości, rzekł na to Pan Józef — a zresztą mam nadzieję, że się jakoś pogodzimy. Pani mi poda koleżeńsko rączkę swoję i będzie zgoda... pogadamy sobie o muzyce, pogramy trochę jeszcze i porozumiemy się ze sobą...

Słowa te jego tak były szczere, serdeczne i przyjacielskie, że mię naprawdę trochę uspokoiły, widziałam przed sobą nie tylko genjalnego muzyka ale charakteru rzadkiego człowieka! O ileż on był doskonalszym od tego błazeńskiego skrzypka...

I ośmielona też jego uprzejmą przemową, przyszłam cokolwiek do siebie, a kiedy dziadek mój zwrócił się do swoich gości, aby im niepozwolić nudzić się artystycznym ciągle przedmiotem, ja tymczasem rozmawiałam z Panem Józefem o muzyce, opowiadając mu całą metodę mej nauki i słuchając z wielką uwagą wszystkich jego rad i nauk opartych na wielkiem doświadczeniu... Wreszcie zbliżyliśmy się znowu do fortepianu, i na usilne jego prośby — odważyłam się nawet na zagranie w obec niego tego samego mazurka, którym rozpoczęła się nasza znajomość muzyczna. On niejako na próbkę nauki praktycznej, powtórzył tegoż mazurka swemi rękami... Jakaż, o mój Boże! ukazała się różnica... Dla wskazania zaś niektórych szczegółów ważniejszych, grał powoli — przerywał, zatrzymywał się dłużej nad niektóremi ustępami — a następnie kazał mi grać go raz jeszcze przy sobie. Byłam mu uległą jak dziecko... słuchałam we wszystkiem, i grałam, i czułam, że takiego mi potrzeba było maestra, abym mogła moje skromne zdolności rozwinąć jak się należy. W niedoopisania rozkosznej zabawie upłynęło nam parę godzin, po których w rzeczy samej nie tylko nastąpiła między nami zgoda, ale ja z całem zaufaniem najprzywiązańszej uczennicy, przylgnęłam do niego jak gdyby z niebios zesłanego mi maestra. On z najserdeczniejszą przychylnością oceniał moje zaufanie, i okazywał się prawdziwie przyjacielskim i tak szczerym, jak gdyby nasza znajomość nie wiedzieć od jak dawna się datowała. — Dziadek jakby odgadł moje życzenie zaproponował swoim gościom preferansa, na który przystali z ochotą i zasiedli do gry w sąsiędnim zaraz pokoju. My zostaliśmy sami... Tu czas zanotować w dzienniku moim, że już w owej chwili, kiedy Pan Józef kierował moją grą mazurka, ja prócz uwagi nad jego nauką, myślałam o czem innem. Wysoki talent i głębokie wykształcenie tego człowieka, swoją całą fizjognomią i ułożeniem ujmującego zaraz za pierwszem spojrzeniem na niego — zrobiły na mnie pierwsze a silne wrażenie, i obudziły w sercu to nieznane mi dotąd uczucie, o które posądzał mię dziadunio względem pana Zygmunta. Czułam rozkosz i szczęście jakieś nieopisane w jego zbliżeniu się do mnie, a czy on domyślił się we mnie tego uczucia, czy mnie się tylko zdawało, o tem niech mi wolno będzie nie uprzedzać mego czytelnika, do którego rąk dostanie się kiedy przypadkiem mój dzienniczek. Gdy dziadzio z obywatelstwem grał w preferansa, a ja pod okiem mego maestra grałam jakiś inny znowu utwór, on w czasie przerwy pierwszy odezwał się w tonie nadzwyczaj przyjacielskim temi słowy:

— Jakże szczęśliwy jestem z dzisiejszego przypadku na Prądzie.

— My to powinniśmy nazwać prawdziwem szczęściem, rzekłam.

— Nie pani... pozwol, że się stanowczo sprzeciwię, tego rodzaju ludzi co ja, włóczących się po świecie i pozwalających się widzieć, jak pani wiadomo i za guldena, poznać bardzo łatwo. Pani jesteś we Lwowie lub Warszawie, czytasz afisz o zapowiedzianym koncercie tego lub owego muzyka, kupujasz bilet i już go znasz, my zaś patrząc się na mnóstwo ludzi, nie widzimy nikogo, nie poznajemy nikogo. Tylko takiego potrzeba, wypadku, jak dzisiejszy abyśmy mieli szczęście poznać kogoś bliżej, i być choć chwilkę sobą samym, a nie koncertantem. Wierzaj mi Pani, że dla roskoszy sztuki, my skazani jesteśmy na poświęcenie wszystkich innych roskoszy duszy i serca.

— Byłby to zbyt wielki egoizm sztuki, odpowiedziałam na te słowa dziwnie z mem uczuciem i usposobieniem zgadzającemi się, panowie bylibyście bardzo pożałowania godnymi.

— Tak też jest w istocie, odrzekł pan Józef — i przyznaj Pani sama, czy i ja miałbym dziś sposobność poznania pani z jej pięknego talentu do muzyki, z jej upodobania w moich kompozycjach...

— Pańskich?... zawołałam z zapałem... Przecież więc dowiedzieliśmy się o tem...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MŁODOŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Nim młody umysł dojdzie do cynizmu nim mu serce wytaje jak kaganiec więzienny, przechodzi przez niesmak, przesyt, niewiarę i całą tłuszczę nieprzyjaciół Boga i ludzi. Idąc po krzywych rozumowań ścieżkach, puszczając wodze zmysłowym uciechom, cynik traci wiarę w przyszłość, poniewiera ludźmi marnuje własnego ducha i więdnieje za młodu, jak weselny wianek na skroniach upiora. Myśli jego i rozumowania są jakby cmentarzem spróchniałych kości; uczucia jego jak zardzewniałe struny, co tylko fałszywy dźwięk wydać mogą; życie i każdy jego stosunek z ludźmi to pocałunek zadżumionego, niosący śmierć moralną i zniszczenie społeczne.

Młodzieniec skąpiec, chwast na naszej grzędzie nie plenny, jest tem dla serca czem rana dla oka, gad w dotknięciu, zgnilizna w powonieniu. Nie tylko wstręt lecz wzgardę obudza, bo tylko zysk pieniężny jest celem jego żyąia. Taki wyrodek nie zna co poświęcenie, zna tylko bojaźń by się nie wymknął grosz z jego ręki. Tak ladajaka wiosna jego życia, tak ni szacunku ni przyjaźni nie wart, tak serce jego zwiędłe i skurczone dusza skarłowaciała, umysł rozbity, w drobiazgach rachunku, że wszystkie promienie jego uczuć i myśli, skupiają się tylko w szkatule, swem ukochanem bożyszczu, dającem mu w nagrodę wstręt i wzgardę ludzi, torturę bojaźni i nudy w mimowiednem sumieniu.

Młodzieniec samolub, płaz u nas źle zaaklimatyzowany, tak pojmuje miłość, jak botanikę koza, objadająca najpiękniejsze rośliny i kwiaty. Pragnie on wszystkiego tylko dla siebie i zabrałby nawet promienie słońca by tylko dlań przyświecały. Nim przylgnął sam do siebie jak gąsiennica do kapuścianego liścia, ocierał się w domu rodziców o mur chiński egoizmu, po za który zacne uczucia przedrzeć się nie mogły. Gdy skrzydła młodzieńca obciąży samolubstwo, gdy sam spowiada i rozgrzesza ubóstwiona *ja*, wówczas świat i ludzie tyle go obchodzą ile pachciarza mlekodajność krowy.

W każdym klimacie takie stworzenie żyje zarówno; ni suchot na Uralu, ni lepry w Lachenie się boi; byle rachunek dopisał zdroweczko równie mu służy. Żyłby wieki oskorupiały nieczułością, gdyby nie nerw rachunku, drażliwszy od pięty Achilesa. Niech morze nieszczęść cały świat zaleje, on płynie dalej rachunkiem zajęty, niechże lada falka przewróci mu szkatułę, pada bez ducha; niech lada wietrzyk zdmuchnie mu choć jedno zero z rachunku, traci oddech, i w paraliżu odwagi kona długie lata. Niektórym udało się zamienić tę niedołężną wadę ich organizmu za inną — niestety! — również śmiertelną. Oto: tytułem zdrowia odjęli czułość nerwowi rachunku, i — zostali jak przeżuwające stworzenia bez żujki, i zgasiwszy cel życia, samo życie zgasili w ciemnicy grobu swojego ducha.

Młodzieniec wietrznik, igra wśród uciech życia jak atom wśród słonecznych promieni; wiruje koło błyszczących punktów, z wodnego blasku rozrywek, a gdy mu się zdarzy zatrzymać przed postacią poważnego człowieka, widzi w nim tylko równego sobie motylka, i ciągnie do wspólnej zabawki by wśród wiru uciech oblatać świat dokoła i jak ćma bezmyślna w ognisku pustoty spłonąć. Praca i myślenie jest dlań męczarnią, życie pienistą falą, rozdętą jak puchlina a wewnątrz pustą. Szczęście ludzkie i własne jest dlań zabawką, którą bezmyślnie podrze na szmaty i wrzuci do śmieci, gdy bawić przestanie.

Młodzieniec smakosz, dla którego żołądek i podniebienie jest największym młodości darem, poświęci bez uwagi trud bliźniego dla smacznego kęska, a łzę jego dla dobrego wina. On by chciał wszystkie skarby przyrody zamienić w delicje smakowania. Licha to postać, co całą treść życia zamienia w smakowanie; cuda natury i sztuki przemieniłby na paryzkie kotlety, najcnotliwsze serca na pulardy, najmędrsze głowy oddałby za bażanta. W lat kilka oblizuje się jeszcze na wspomnienie jędora z truflami; na pogrzebie matki poczułby smak nieczystego wina; gdyby w tej samej chwili święta Cecylja uderzyła w struny i lokaj brząknął talerzem, milszą mu byłaby muzyka talerzy, niż dźwięki harfy anielskiej dziewicy. — Gdy czasami jakieś lepsze uczucie weźmie nad żołądkiem górę, nie trwale to zwycięztwo; bo woń potraw i napojów zapisze go znowu w poddaństwo kuchni i piwnicy.

Młodzieniec próżniak, ów truteń społeczny ma młodość bez kwiatów, jesień bez owoców. Niezdolny ani do złego ani do dobrego zasklepia się w lenistwie jak robak w skorupie, stojąc niżej od niego; bo robak się przesadza w złocistego motyla, a próżniak grzybieje bezczynnie na własnem lub cudzem śmietnisku.

Dla płci pięknej młodość jest największym skarbem, bo się to tyle obiecuje świetnego szczęścia, gdzie piękność jest jedynem zdaniem, młodość jedyną rachubą.

Świeża jak pączek, śliczna jak róża biała jak lilja, mówią o młodej dziewczynie zdobnej kwiatem młodości. Na wdzięki duszy mniej zwracają uwagi — a słysząc takie uwielbianie dla młodości, zdawałoby się, że jeszcze nieboszczyk Jowisz siedzi po staremu na Olimpie i po staremu stroi zalety do córek ziemi.

Wiosna w naturze jak młodość w życiu ludzkiem jest zapowiedzią jesieni żyznej lub jałowej. Tam gdzie młodość jest tylko okrasą ciała, gdzie tylko różą lub lilją jest młoda dziewica, gdzie własna matka przeznacza ją swym własnym pocałunkiem za stroine bawideł-

ko lub bohaterkę romansu, tam się jak polny konik przebiega wiosnę nie myśląc o jutrze. W tem jutrze różnej natury są plony. — Jedne nigdy się nie spożyją idąc na pożytek różnych pokoleń — inne kończą się z wiosną, więdną i marnieją. Gdy młodość wypieści tylko ciało i wychoduje piękność a duch w poczwarze zwiędnieje, młodość jest tylko ułudą, z której ani prawda ani szlachetna praca urość nie mogą.

(Ciąg dalszy nast.).

TEATR.

Halszka z Ostroga — Dramat w 5 aktach p. J. Szujskiego.

Główną wadą naszych Dramaturgów zakroju Shakspaerowskiego jest, można to przyjąć za ogólną zasadę, ów brak psychologicznej prawdy w prowadzeniu przez dramatyczne sytuacje bohaterów sztuki. — W dramacie nie pojmujemy połowiczego charakteru — zbrodnia lub cnota, powinna w całej swojej wielkości stać w obec wypadków, które jej los lub opatrzność rzucą do walki.

W dramacie p. Szujskiego w drugim zaraz akcie fałszywe pojęcie *obowiązku* i *miłości* stawia *Halszkę* prawie na drugim planie sztuki. — Autor zdaniem naszem poświęciwszy obowiązek dla miłości, powinien bohaterce dramatu wybitniejszy nadać charakter, nie przez cztery akta prowadzić widza po niewyraźnych manowcach domysłów. — Dla tego nie jasne określenie charakteru Halszki, czyni rolę jej nadzwyczaj trudną do oddania i potrzeba takiego talentu jak Pani *Modrzejewskiej*, aby wydobyć z pół cieniów to wszystko cośmy nie autorowi, ale niezrównanej grze artyski winni. — W akcie drugim w rozmowie z królem p. *Modrzejewska* stoi przed widzami jak groźny posąg boleści niemej a strasznej. — Byłaby to prawdziwie posągowa Shakspaerowska postać, gdyby jej autor słabością nie skrzywdził, kiedy Halszka słysząc dzwony i muzykę pogrzebową chce iść za trumną męża — a jeden giest matki zwraca ją z drogi i dopiero rozkaz króla wyprowadza ją z tej trudnej sytuacji.

Grze artystów zawdzięczamy całą przyjemność tego wieczoru. P. *Hoffmann* w roli *Księżny Ostrogskiej* dała nam typ tej okropnej a nieubłaganej dumy i nienawiści niewieściej sięgającej po za grób nawet... Publiczność też z równem uznaniem przyjmowała obie artystki hucznemi oklaskami.

Pan *Ładnowski (Dymitr Sanguszko)* rozwinął przed nami całe skarby swego talentu. — Talent p. *Ładnowskiego* jestto djament czystej wody, pełen blasku i ciepła serdecznego. — Zachwycić i porwać słuchacza ze sobą w otchłań cierpienia lub walki namiętności — jest to tajemnica, którą pan *Ładnowski* zdobył dla siebie.

Wspomnieć nam tu koniecznie wypada o p. *Fiszerze (Odachowski)*, który tego wieczora naturalną i wyborną deklamacją chociaż w mało znaczącej roli zdobył sobie rzęsiste oklaski. Radzibyśmy widzieć częściej młodego artystę na scenie i w odpowiedniejszych dla jego talentu rolach. — Powinno to być zadaniem Dyrekcji aby z pożytkiem dla sceny zużywać siły na których Towarzystwu dzisiejszemu nie zbywa.

Kronika. — *Niepogoda na horyzoncie umysłów krakowian; — à propos porządku rozmaite zachcenia publiczności naszej. — Magistrat w niebezpieczeństwie, i etc.*

Jeżeli wszystkie przyjemności zapowiedziane w programie nie wyczerpią się do dna na przyjazd poznańskich gości i Sokoła, wina to będzie niepogody, która od dni kilku trapi niepomału serca wszystkich właścicieli zielonych ogródków i spekulantów wiosennych rozkoszy!...

Amatorowie kwaśnej śmietany wielce boleją nad niestałością wiosennego nieba, a restaurator Strzeleckiego ogrodu podobno z całym stoicyzmem znosi plagę zimna i deszczu... Jakkolwiek nie jest zamiarem naszym apoteozować obywatelskie cnoty — toż przecie nie możemy przemilczeć o tym porządku i komforcie, który w jedynem dla miasta miejscu rozrywki — harmonizuje z pochyloną bódką dla muzyki i z wysłużonymi stołkami, dla których (gdybym był członkiem towarzystwa strzeleckiego) wniósłbym na pierwszym walnem zgromadzeniu o emeryturę. —

Zaś do gospodarza ogrodu wniósłbym, także pokorną suplikę aby garzonom trochę staranniej ubierać się pozwolił i nie wzbraniał być im usłużniejszymi dla publiczności — gotowiśmy nawet zaręczyć mu, że na tych wszystkich reformach kieszeń jego nie tylko nie straci, ale skorzysta niezawodnie.

Ponieważ nas losy zaprowadziły do ogrodu Strzeleckiego, wypada nam wspomnieć o fantowej loterji tamże urządzonej na korzyść biednych, którą zajmowały się łaskawe panie nasze. — Niestety! pogoda nie sprzyjała dobrym ich chęciom — a pochmurny dzień o wiele zmniejszył dochód z rozprzedaży fantów.

Słyszeliśmy i czytaliśmy po rogach rozlepione plakaty wzywające obywateli Krakowa na naradę nad wyborem składu urzędników tutejszego Municypium — to daje nam powód do mniemania, że naród zaczyna żyć parlamentarnie i że angielskie meetingi razem z befstekiem przyjęły się na naszej ziemi. Życie parlamentarne jest wstępem do wolności — ale wolność podobno łatwo się wyrodzić może w samowolę — jeżeli nie jest właściwie zrozumianą. — Lecz podobno i na tej drodze niemało pracują u nas, oto jak nam mówiono, w Gorlicach zawiązał się komitet z sześciu obywateli, celem którego, ma być kupienie jednego egzemplarza broszury *Chojeckiego* „O wolności,“ kosztującej 1 fl. w. a. Jestto czyn godny naśladowania nawet u nas w Krakowie — elementarz zawsze dobry pod ręką, zwłaszcza dla początkujących....

Zanim atoli nastąpi reorganizacja Magistratu, który kiedyś będzie się mógł tytułować *„z woli Narodu“* warto aby teraźniejsi pp. Radcy więcej trochę kłopotali się o wygody mieszkańców Krakowa. — Chcemy tu mówić o niepraktykowanym nigdzie zwyczaju burzenia starych domów i nieporządku, który tylko u nas widzieć

można. — Pamiętamy jak przed paru tygodniami, właściciel narożnej kamienicy przy ulicy Szewskiej obdarzał nas tumanami kurzu, który na rachunek sumienia pieczołowitości Magistratu, mieszkańcy musieli połykać w pokorze i poddaniu się. — Jeżeli kogoś stać na robotników i odnowienie starej rudery to i na postawienie parkanu z desek szczelnie zbitych, pewno mu nie zabraknie. — Kurz tym sposobem nie udziela się publiczności, która i tak ma go dosyta — tam gdzie ulice są zmiatane jak można najrzadziej. Takie rzeczy dzieją się wszędzie — u nas tylko zaaklimatyzować się nie może porządek. Piramidalne stosy cegły poustawiane na chodnikach — świadczą o błogich patryarchalnych czasach — a uśmiechający się wszędzie nieporządek o miłem poetycznem zaniedbaniu. —

ROZMAITOŚCI.

Lekarstwo na emancypację żon. Dzienniki Paryzkie donoszą o zabawnym żarcie, jakiego użyła pewna liczba mężów dla wyleczenia szanownych połowic swoich z paroksyzmu emancypacji. Trzeba bowiem wiedzieć, że za przykładem Ameryki, odbyło się także w Paryżu kilka bardzo burzliwych mityngów niewieścich, które miały na celu wyzwolenie płci pięknej z pod tyrańskiej władzy mężczyzny. A właśnie tam mają podobne narzekania kobiet swoją komiczną stronę. „L'homme regne, la femme gouverne“ — mówią w Paryżu; mężczyzna może panować, ale kobieta rządzi i nigdzie nie włada jak wiadomo wola i kaprys kobiety do tego stopnia, jak w Paryżu. Mąż chodzi przez cały dzień za swojemi sprawami, stara się zarobić, by opędzić znaczne wydatki na utrzymanie domu, uzyskać przyjazne spojrzenie od małżonki, by sprawić jej nową suknię, zaprowadzić ją do teatru i zgotować jej wszystko to, co kobietę uszczęśliwić może. Nigdzie nie dobija się mąż tak ciężko zarobku dziennego, jak w Paryżu. Tymczasem przepędza małżonka czas u zwierciadła, albo jedzie do modniarki, albo przemyśliwa o nowej toalecie; bo jej dzieci oddane zostały do pensjonatu, ażeby matka nie miała kłopotu. Zatem pozostaje jej cały dzień do zajmowania się swoją pięknością. A przecież chcą Paryżanki uwolnić się od tyraństwa mężów.

Otóż kilka dni po jednym z takich meetyngów niewieścich, na którym piękne oratorki zaklinały swoje siostry, ażeby skruszyły nienawistne jarzmo, zgłosił się w kilkunastu domach adwokat, pragnący mówić z panią domu. Jejmość siedziała przy toalecie, ale gość nie dał się odprawić; musiała więc przyjąć go, chociaż z ofiarą kilku drogich chwil swego zajęcia przy zwierciadle.

Gość skłonił się grzecznie i doręczył pismo stęplowe. Jejmość czytała zdziwiona i — pobladła. Adwokat ukłonił się znowu i odszedł.

Cóż zawierał ten papier? Wniosek rozwodu ze strony jej małżonka.

Upłynęło kilka długich godzin niespokojności i obawy. Nareszcie powrócił małżonek z biura.

— „Mój drogi, co znaczy to pismo?“ pyta go blada i drżąca.

„Podałem o rozwód! Przecież chcesz być wolną! Więc będziesz....“

— „Ale ty pewno przemoczyłeś nogi! Ty się przeziębisz, kochany mężu! Usiądź przy kominku i ogrzej się. Mam ci przygotować herbatę?“

— „Nie potrzeba, jestem zupełnie zdrów“ — odpowiada mąż, śmiejąc się w duchu z tej troskliwości, jakiej nie poświęcano nigdy jego zdrowiu. „Mnie całkiem dobrze i tobie będzie lepiej, gdy raz będziesz wolną.“

— „Ależ mężu, ja ciebie nie rozumiem! Czy mam ci podać szlafrok?“

— „Nie, dziękuję ci! Pocóż ta niewola, której nigdy sobie nie zadawałaś? Słyszałem twój jęk boleści, że uciemiężam cię tylko, więc nie będę już pracował dla ciebie! Dotąd spadały na nas mężów wszelkie ciężary, wszelkie troski; męczyliśmy się po całych dniach, przepędzaliśmy noce bezsenne, przemyśliwając nad nowymi środkami zarobku, walczyliśmy z tysiącami przeciwieństw o chleb codzienny, gdy tymczasem wy żony zajmowałyście się toaletą, jeździły na spacer, odbierały hołdy od wielbicieli... To wszystko musi ustać! Precz z niewolą! Naszym obowiązkiem jest powrócić wolność wam biednym. Niech żyje wolność!“

W godzinę potem siedzieli oboje przy stole; nie było już mowy o niewoli, o skruszeniu jarzma. Wszystko zostało po dawnemu. Jakież to cudowne lekarstwo.

REBUS.

Kamień

Kamień

Kamień

Znaczenie rebusa w N. 16. Lwów i Poznań zjeżdżają do nas.

Z powodu opóźnienia przesyłki mód — takowe do następnego Numeru dołączone będą.

Kierujący Redakcją ALEKSANDER DAWIDOWICZ.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca *Wincenty Kornecki.*

Kraków. — W Drukarni Władysława Jaworskiego, 1870.